

Magda Małecka-Myślik

MIESZKANIA MOJEGO DZIECIŃSTWA

...najbardziej tajemnicze, najpiękniejsze było mieszkanie na drugim piętrze. Szło się tam kamiennymi, stromymi schodami, a wszędzie unosił się zapach lekarstw. Na parterze była apteka. Czasem można było się tam dostać, przechodząc pod srogo zasuniętą ladą i wtedy, jeśli solennie obiecałam, że niczego nie dotknę — można było obejrzeć sąsiedni pokój. Najważniejsze było oczywiście biurko, z tajemniczą lampą z zielonym abażurem. Czasami były też prezenty — sztywne pudełko po zastrzykach, w którym mogły spać malutkie lalki. Dużo gorzej miał miś, bo takie duże pudełka trafiały się rzadko. Miś sypiał owinięty szmatką na półce od tapczanu.

W mieszkaniu był parkiet, który skrzypiał, było stare, rzeźbione pianino. Można było na nim ćwiczyć, gdy nie przeszkadzało to starszej pani. Ale ona była zawsze bardzo miła. Siedziała w wielkim fotelu i paliła papierosy w szklanej fifice. Czytała książki. Oprócz niej mieszkała tam także starsza pani doktor, ale drzwi do jej pokoju były zawsze starannie zamknięte. Była tam również łazienka z prawdziwą wanną, a po prawej stronie kuchnia. Do stołu podawano serwetki, zwinięte w intrygujące kóleczka, oraz bardzo dziwne noże i widelce. Z boku stała oszklona szafa, pełna najpiękniejszych talerzy. Były niebieskie, malowane w malutkie czerwone różyczki i bardzo wymyślne, złote esy-floresy. Szafa była zamknięta, ale przez oszklone drzwi wszystkie te cuda można było oglądać do woli.

W dużym pokoju, z którego okien roztaczał się widok na Basztę, był gramofon, który grał różną muzykę, a także dziwny, metalowy talerz z cukierkami. Zawsze dostawałam dwa — dla siebie i dla siostry, czasem także dla mamy i taty.

Dzieci nie chodziły do tego mieszkania na imieniny, ale raz, w długim karnawale, zaproszono nas na pączki, w których schowano malutką koronę. Nigdy w życiu niczego już chyba tak bardzo nie pragnęłam, ale zasady były nieubłagane: tylko jeden los. Nie pamiętam, oczywiście, kto był szczęściarzem ...

Pamiętam również dom, który nie miał ani ogródka, ani płotu. Zawsze go mijałam, gdy mama posłała mnie do ogrodnika. Był niewielki, drewniany, pomalowany na ciemnobrązowy kolor, szło się tam wąziutką ścieżynką, a przed domem kwitła prawdziwa piwonia. Miała blad różowe, delikatne płatki, a gdy przekwitwała, można je było zbierać z ziemi. Pachniały leciutką goryczką i słońcem.

Był także dom, do którego wchodziło się przez różany ogródek. Stał na rogu ulicy i jego okienka tak naprawdę patrzyły na nogi przechodniów. Z sieni prowadziły schody na strych. Pachniał sianem i starym drewnem, suchym koprem. Przez gonty świeciło słońce. Grzało ono także bezpiecznie się, gdy pod bosymi stopami czuło się wyraźnie słoje drewna na szorowanej co sobotę złotawej podłodze. Pokój był duży i ciemny. Surowo ze ściany patrzył św. Józef, skrzypiały deski. Na stole leżała zawsze szydełkowa serweta, która nie podobała się mojej mamie. Ale najbardziej niedostępny był alkierz. Wybielony

starannie wapnem, skrywał jakieś ważne rzeczy. Można tam było zajrzeć przez uchylone drzwi, ale nie zdarzało się to często.

Inny był wtedy także czas. Latem miał długie słoneczne popołudnia, odmierzane przejazdami pociągu po usłanym kwiatami nasypie. Ci, których rodzice pracowali w Krynicy, zbierali się zawsze na plantach i tam czekali na ich powrót. Wpół do czwartej nadjeżdżał, sapiąc pracowicie, „Lajkonik” — cztery stare wagoniki z drewnianymi siedzeniami. Do domu zawsze wracało się ogrodem — ścieżynką, żeby nie deptać trawy dla królików.

Zimą czas odmierzały sunące po Rynku sanki. Leciutko dzwoniły dzwoneczki, gdy parujące od zmęczenia konie w świetle różowiejącego zachodu wolniutko wiozły do tartaku ośnieżone kłody drewna.

A ten dom był pomalowany na biało. Nie był daleko, tylko dwie ulice. Też miał sień, prowadzącą do ogrodu. Mieszkała tam bardzo surowa ciocia, której mąż miał gołębie serce i nigdy się nie odzywał. Przyjeżdżały tu na wakacje kuzynki z Warszawy. To właśnie Dorota opowiadała, krew mrożące w żyłach, historie o mieszkającej opodal tajemniczej starszej pani. Baliśmy się jej ze wszystkich sił, ale wielki ogród, gdzie rosły dzikie rozłożyste bzy i stare jabłonie, i gdzie można było biegać do woli, bo nikt nie złościł się o podeptaną trawę, był silniejszą pokusą od najbardziej nieprawdopodobnych opowieści Doroty.

Pozostał mi jeszcze w pamięci parterowy dom z czterema schodkami, gdzie w pokoju, znajdującym się na lewo od wejścia, był zegar z kukułką oraz żelazny piecyk, który zimą miał na czerwono „wybuloną” plamkę z boku i należało go starannie i z daleka omijać. Stał tam przepastny kredens z kryształowymi szybkami i niewygodne foteliki z krzywymi nóżkami. Było także pianino, a przy nim — marzenie każdego młodego pianisty — obrotowy stołek. Zimą w oknie wisiała słoninka, do której tłumnie zlatywały się sikorki. Przez okna podczas moich lekcji zaglądało zimą słońce, osypując szadź z bezlistnych jabłoni w ogródku. Uważną ciszę tych spotkań z muzyką, pierwszych i chyba jednych z najważniejszych w moim życiu, często przerywał odgłos przejeżdżającego pociągu.

Był jeszcze jeden dom. Też pamiętam go w słońcu. Był pusty w środku i dziwnie pachniał. Wchodziło się do niego po niewielkiej deseczce przerzuconej nad głębokim rowem, który ciągnął się tuż przy domu. Wszędzie było wilgotno, a w powietrzu czuło się zapach nieszczęścia. Na wszystkich ścianach we wszystkich pomieszczeniach była wyraźna, ciemna linia. W ogródku siedział mój wujek. Miał pooraną bruzdami twarz, sumiaste wąsy, na głowie nieodłączny kapelusz. Bezradnie trzymał w drżących rękach laskę i nic nie mówił. Było to lato roku 1958, a może 1959 ...

Szewc mieszkał na Kościelnej. Wytarta od wielu rąk mosiężna klamka ustępowała pod małymi rączkami ze zgrzytem. Na końcu sieni był mały pokoik. Pachniał skórą, klejem. Okryty fartuchem siedział na niskim zydelku szczupły mężczyzna. Przed nim w małych puszkach po konserwach leżały gwoźdźniki. Łatał i żelował chyba bez końca nasze buty i butki.

Pamiętam także dom, który wydawał się najdziwniejszy. Parterowy, ciemny. Duża wejściowa brama, przez którą mógł wjechać drabiniasty wóz, zawsze była uchylona,

a w sieni nie było podłogi. Tam trzeba było najbardziej uważać. Było ciemno i zawsze można było sandalkiem wdepnąć w kurzą pamiętkę. Daleko wysunięty w stronę ulicy dach dawał dobre schronienie przed deszczem, a latem przed upałem. Tam właśnie, w cieniu, często w niedzielne popołudnia siadywali na najlepszych krzesłach odświętnie ubrani gospodarze. Niespiesznie pogadywali ze spacerującymi ulicą, patrząc, jak chowające się za Basztę słońce odmierza spokojnie płynący czas. W środku domu pachniało niezwykle. W sieni stał piec. Duży piec. Zawsze dymił na nim wielki garnek kartofli w łupinach. A na końcu, z małym okienkiem, wychodzącym na ogród, który też zamykały tory kolejowe, była kuchnia. Równiutko ubite, codziennie zamiatane brzoźową miotłą klepisko. W kącie także piec, a na nim dziwne, ciemne i baniaste garnki, stół o wytartych od szorowania słojach, stołeczek na trzech nóżkach, a przy piecu największa atrakcja — kurczaki w kojcu. Czasem można było jednego wziąć do ręki i pogłaskać. Piszczala bardzo i wyrwała się z malutkich rączek ta ciepłutka, pierzasta kuleczka...

Obok następnego domu rosły wzdłuż ulicy świerki. Trzy dorosłe, bujne świerki. Chodnik z betonowych płytek też tam się kończył. Cztery zbyt wysokie na dziecięce nóżki schodki, a potem szatnia. Tu na każdego czekał jego obrazek nad wieszakiem, worek z kapciami. Trzeba było starannie zamykać zgrzytającą klamkę od ulicy, a po przebraniu kapci w niewielkiej sali otwierał się inny świat. W kącie stała fisharmonia. Wcale nie było to takie proste, by jednocześnie grać, a małymi nóżkami równiutko pompować powietrze. Ginęła często melodia pobożnej pieśni, gdy malutkiej, sześciolatniej organistce plątały się palce, albo gdy trzeba było jednocześnie odwrócić kartkę... Tam także dobrze było słycać każdy południowy Anioł Pański. Wysokie słońce zaglądało przez okna, gdy myliły się słowa modlitw... A myliły się nam często, bo ministrantura była po łacinie. Do dziś pamiętam jej obszerne fragmenty. Po śniadaniu, w słoneczne dni, chodziliśmy na spacer. Wiosną pod świerkami rosły drobniutkie, pachnące fiołki. A w podwórku były także huśtawki. Huśtawki — to solidny, „krowi” łańcuch przewleczony przez przemyślny system gwoździ na wbitym w ziemię trzepaku. Jeśli położyć w połowie zwisającego łańcucha niedużą deseczkę i nauczyć się jak z niej nie spadać — naprawdę świat może być bardzo piękny. Tam także zimą przychodził Mikołaj. Nie był to taki zwykły Święty, ponieważ można z nim było wcześniej porozmawiać przez telefon, a przy tym doskonale orientował się, czyj kapeć wylądował ostatnio na szafie i komu tego dnia wylała się herbata przy śniadaniu... Nie było żartów. Trafiały się proporcjonalne do przestępstw różgi, ale zawsze były — najbardziej oczekiwane — cukierki.



*Dom sióstr Elżbietanek
(dawniej również Ochronka)*